

Samat

Przyleciałem do Nur-Sultan rano i od razu, jeszcze szary i pomięty pobiegłem na śniadanie do „Saksaul”. Po dziewiątej rano byłem pierwszym gościem, a kelnerzy ubrani po cywilnemu dopiero sprząтали lokal. Obsługiwał mnie młody chłopak. Widziałem go po raz pierwszy. Szczupły, wysoki, o kazaskich rysach twarzy, ale nie tak ciemny jak inni. O razu zastanowiłem się, dlaczego tutaj pracuje. Jego delikatna twarz nie pasowała do tego miejsca. Zwracał się do mnie "молодой человек".

Wróciłem tam po pracy wieczorem. Mają wyśmienite tradycyjne kazachskie jedzenie (jedyne miejsce, gdzie spokojnie jem mięso), gustowny wystrój i lokalną muzykę. Nie przeszkadza mi, że od roku leci ta sama płyta. Miałem też okazję po raz kolejny przekonać się, że standardy azjatyckiej gościnności są jak ich góry, dużo wyższe od naszych. Usadzili mnie w tym samym miejscu, na wielkim twardym fotelu z widokiem na okno i centrum handlowe. Najpierw jak zwykle podszedł kierownik sali, którego podstawową rolą jest raczyć gości miłą, gładką rozmową. Wyciągnął ku mnie obie dłonie i długo ścisnął nimi moją rękę równocześnie kłaniając się. Ten gest zawsze mnie krępuje. Nie wiem, czy też mam dygnąć, czy może wyciągnąć obie ręce i wreszcie, jak długo ścisnąć. Nie wiem, więc czekam, aż ten gest sam minie. Następnie on wyraził radość widząc mnie ponownie po dłuższej przerwie. Spytał, kiedy wróciłem i szkoda, że na tak krótko. Mieliśmy tę rozmowę już kilkakrotnie i wiedziałem, gdzie się kończy. On też wiedział to doskonale. Był przede wszystkim człowiekiem interesu, ale prawdziwie miłym człowiekiem interesu.

Obsługiwał mnie ten sam młody chłopak co rano. Ucieszyłem się. Gdy przyjmował zamówienie spytałem go o imię i wiek, z powodu porannego "молодой человек". Nazywał się Samat, choć goście różnie na niego mówili. Najczęściej „Sam”, ale bywało też „Samsung”. Miał 22 lata i stwierdził, że to dużo. Lata lecą, a on nic nie ma, ani domu, ani samochodu. Jest sam w stolicy i nie ma mu kto pomóc piąć się w górę, więc jest tylko oficjantem. W trzecim zdaniu powiedział, że ma artystyczną duszę i jest charyzmatyczny. Gdy przyniósł mi kolację, przyznał się, że wczoraj dziewczyna z nim zerwała, ale od razu dodał z rozbajającym uśmiechem, że „Ja sam winowaty”. W języku rosyjskim nawet wyznanie winy brzmi tak dobrodusznie. Spytał, skąd przyjechałem, co tu robię i uznał, że jestem bardzo „good”. Zastanawiałem się chwilę, czy aby ich tak dobrze nie szkolą z tej gościnności, ale zaraz porzuciłem te cyniczne myśli. Był tak szczery, że jeśli nawet myliłem się w ocenie jego entuzjazmu, to

wolałbym pozostać w błędzie. Miał złoty uśmiech, jego oczy błyszczały prawdą i młodością. Wszystko było w nim na początku. W jego wieku też byłem kelnerem, jeszcze miałem dziewczynę i jeszcze nie miałem mieszkania, ani samochodu. Z czystej serdeczności uspokajałem go, że ma dużo czasu, ale w duchu wiedziałem, że to on ma rację. Może ja mam dużo, ale nie on. On musi nabrać wysokości lotu i wdrapać się na swoje szczyty póki tryska siłami i entuzjazmem jak dzisiaj. Gdy tak rozmyślałem nad talerzem końskiej kiełbasy z pomidorami, poczułem w sercu ciepło. Silne poczucie, że jest ktoś, kto pomaga nam wszystkim sklejać ludzkie losy, prostować ścieżki i naprawdę spotkać drugiego człowieka. Ktoś, kto podsuwa nam innych i natchnienie, jak rozpoznać w nich znaki dla siebie. Może to bez sensu, ale właśnie dlatego w to wierzę.

Samat wyjeżdżał w rodzinne strony następnego dnia i wróci dopiero za tydzień, więc to było nasze pierwsze i zapewne ostatnie spotkanie. Mam nadzieję, że jednak wzleci w górę zanim wrócę tu za dwa miesiące. Na odchodne uścisnęliśmy sobie obie dłonie długo i przyjaźnie jak to zdarza się tylko na Wschodzie. Gdy wyszedłem zrozumiałem, że spotkałem swojego młodego anioła. Spotkałem i straciłem.

24.09.2019